

10 minut z Marią Wiercińską

Wieloletnia aktorka, wyrosła w osterwowskiej „Reducie”, zasłużony pedagog – profesor Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, od lat powojennych wybitny reżyser: Maria Wiercińska po raz pierwszy gościła artystycznie w Krakowie. Mimo gorącego sentymentu do naszego miasta, mimo osobistych z nim więzi od lat wielu, mimo zaproszeń do gościnnej reżyserii – dopiero tym razem zdołała artystka zetknąć się z nim na dłużej. Punkt styczności: krakowski Teatr „Rozmaitości”, w którym zaprezentowała ostatnio swe nowe dzieło reżyserskie: „Nasze miasto” Wildera.

Od tej sztuki, od przedstawienia, od współpracy z krakowskim teatrem rozpoczęliśmy rozmowę z artystką.

– Sztukę Wildera

bardzo lubię. Zawsze interesował mnie jej problem; sprawy filozoficzno - życiowe, sprawy przemijania. Interesowało mnie w niej także zagadnienie formy teatralnej: uczynienie z rzeczy, trochę wczorajszej – bliższą nam, codzienną, podaną jednocześnie z pewną nutką ironii, by, broń Boże, nie gloryfikować przeciętności. Przeciwnie, pragnęłam, aby niejako mottem do mej inscenizacji tej sztuki stały się słowa: „Nie róbcie z życia



przeciętności, każda jego sekunda jest tyle warta, że nie wolno jej pomijać”. A więc atrybuty ironii, ostrość myślenia, walka z tzw. „smuteczkiem” na scenie, z czułościowością, z sentymentalizmem. A równocześnie przewyciężenie tak modnego dziś w teatrze „dyktansu”, czy „przymrużenia oka”, które to metody – wydaje mi się – pokrywać mają po prostu niekiedy... nieumiejętność aktorką.

– Jaką więc zastosowała Pani metodę pracy aktorskiej?

– W wielkim skrócie tak by to można określić: intelektualne podejście do sztuki, do tekstu, w oparciu o kompozycję plastyczną i treść utworu (należę do reżyserów, dla których tekst jest w jakimś sensie sprawą nietykalną). Dopiero poprzez intelekt – dochodzenie do stanów emocjonalnych. Zawsze – i jako reżyser, i jako pedagog – przeciwstawiam się pokazywaniu uczuć na scenie. Równocześnie jednak przeciwstawiam się też scenicznemu udziwnianiu. Tej metodzie w ostatnich latach szczególnie hołdował Kraków – miasto, w którym zaznaczyła się olbrzymia hegemonia scenografii, w którym eksperymentalne teatrzyki studenckie wysunęły się na sztandarowe miejsce, a walka ze schematycznie pojętym realizmem i socjalistycznym połączona za sobą „odchylenia” w drugą stronę. Ale to chyba mija. Byłam obecnie na kilku przedstawieniach, które mnie bardzo zainteresowały i które uważam za wybitne osiągnięcia artystyczne. W pracy z aktorem – poza zasadą ostrości myślenia i bazowania przy interpretacji postaci przede wszystkim na psychologii ludzkiej – hołduję grze zespołowej. Każdy aktor wypełnić musi swoje, nawet najdrobniejsze zadanie, jak potrafi najlepiej.

- Jakle wnioski i wrażenia z 2-miesięcznej blisko współpracy z zespołem krakowskiego teatru?

- Jak najlepsze, jak najmlsze. Proszę mi wierzyć - to nie jest tylko zdawkowa uprzejmość. Atmosfera pracy była w teatrze znakomita, zespół pelen zapału, dawał z siebie wszystko. Podziwiać to należy szczególnie, znając niesłychanie ciężki wysiłek aktorów tej objazdowej sceny, zajętych dosłownie od świtu do nocy. Jedynym zgrzytem były... limity finansowe i związane z tym trudności w pracy (brak godzin nadliczbowych, ograniczony fundusz bezosobowy) - ale to już nie wina teatru.

- Wiemy, że interesuje się Pani problemem recytacji, poezji na scenie.

- Owszem. To zaczęło się jeszcze w „Reducie”. W szkole - obok gry scenicznej - zajmuję się sprawą wiersza z podbudową teoretyczną; sprawą, jak wiadomo zaniedbaną dziś nieco w teatrze. Szczególnie silne moje wspomnienia teatralno - poetyckie wiążą się z latami okupacji, gdy to w czasie szeroko zakrojonej działalności artystyczno-pedagogicznej, realizowałam ok. 150 audycji poetyckich. Debiutowało w nich wtedy wielu wybitnych dziś aktorów.

- Czy nie zamyśla Pani pisać pamiętników? Uwiecznić te wszystkie sprawy i przeżycia, stanowiące już dziś karty historii polskiego teatru?

- Za bardzo żyję współczesnym życiem teatralnym, by mieć czas na wspomnienia z przeszłości. Ale z pewnością szkoda, że nie utrwała się, nie przekazuje potomnym' wielu zjawisk naszego teatru. Cóż - nasza teatrologia jest dopiero w powijakach. A ważna to i potrzebna dziedzina wiedzy. Sprzyjam jej całym sercem, czego wyrazem jest systematyczne zasilanie zbiorów teatrologicznych Polskiego Instytutu Sztuki spuścizną mego męża, Edmunda Wiercińskiego, który zresztą trzon swych bogatych zbiorów teatralnych ofiarował rok przed śmiercią PIS owi.

- Pytanie na zakończenie: czy zamierza Pani zacieśnić więzy, zadzierżgnięte z Krakowem?

- Bardzo bym tego pragnęła, co oczywiście, zależy nie tylko ode mnie. Kraków jest tak wybitnym ośrodkiem teatralnym, że praca w nim daje reżyserowi wiele satysfakcji. Mam tu poza tym wielu swych dawnych uczniów, dziś wybitnych aktorów czy reżyserów, co, oczywiście, pogłębia jeszcze sentyment do krakowskich teatrów. KR. ZB.